

Can Xue

Ulica Żółtego Błota

przełożyła Katarzyna Sarek



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Gdzieś w tym mieście znajduje się ulica Żółtego Błota, pamiętam to doskonale. Ale wszyscy powtarzają, że taka ulica nie istnieje.

Poszedłem jej szukać, brodziłem w żółtym pyłe, deptałem zakurzone ludzkie cienie, poszedłem szukać ulicy Żółtego Błota.

Pytałem przechodniów:

– Czy to ulica Żółtego Błota?

Wpatrywali się we mnie oczami martwej ryby, ale nikt nie odpowiadał.

Mój cień włókł się po rozgrzanym asfalcie, gałki oczne utknęły mi w wysuszonych słońcem oczodołach jak szklane kulki. Ja również miałem oczy jak u martwej ryby, z trudem rozpoznawałem ludzkie sylwetki.

Doszedłem na ulicę ze zrujnowanymi domami, gdzie na poboczach leżeli żebracy. Pamiętam, że pajęcza sieć zwisała ze zniszczonej futryny. Ale żebrak powiedział:

– Czerwony pająk? Który rok teraz mamy?

Z włosów wyleciała mu wielka jak chrząszcz zielonogłowa mucha.

Czarny popiół leciał z nieba jak z kosza na śmieci, był kwaśny, smakował jak biseptol. Z naprzeciwna nadbiegło dziecko i wydłubując popiół z nosa, powiedziało:

– Dwoje ludzi zmarło na raka, o tam.

Poszedłem za nim, zobaczyłem żelazne drzwi podziurawione rdzą, u góry, na ostrych szpikulcach, siedziały rzędem wrony, wiercący w nosie smród gnijących trupów unosił się w powietrzu.

Żebracy zasnęli, a we śnie zlizywali i połykali kwaśny popiół.

Sen, sen jak zielony wąż, łagodnie i chłodno zwisał z moich ramion.

O ULICY ŻÓŁTEGO BŁOTA I FABRYCE MASZYN S

Ulica Żółtego Błota była długa i wąska. Po obu jej stronach pochylały się stłoczone domki o najróżniejszych kształtach – z glinianych cegieł lub z drewna, pokryte strzechą lub dachówkami, z trzema oknami lub z dwoma oknami, z drzwiami od ulicy lub bez nich, ze schodkami albo bez schodków, z ogródkami albo bez ogródków i tak dalej. Każdy z nich nosił jakąś nazwę, na przykład „Skład wina rodziny Xiao”, „Sklep z kadzidłami rodziny Luo”, „Wielka herbaciarnia rodziny Deng”, „Mała makaroniarnia rodziny Wang” i tak dalej. Sądząc po szyldach, mieszkańcom ulicy chyba się niegdyś powodziło. Ale ich pamięć obecnie przypominała ich domy – była do tego stopnia dziurawa i zmarszała, że nikt z nich nie pamiętał dawnych dobrych czasów.

Ulica Żółtego Błota lepiała się od brudu, ponieważ z nieba nieustannie spadał smoliście czarny popiół. Nie wiadomo, skąd się brał, zdawał się padać cały czas, przez cały rok, nawet deszcz padał czarnymi kroplami. Domki wyglądały, jakby wyrosły spod ziemi, i od góry do dołu były tak pokryte błotem i popiołem, że z trudem dało się zauważyć okna. Przechodnie stale chowali się przed lecącym z nieba popiołem, przez który mieszkańcy ulicy Żółtego Błota mieli zaczerwienione oczy i utrzymujący się przez cały rok kaszel.

Mieszkańcy ulicy Żółtego Błota nie wiedzieli, że niebo może mieć różne kolory – od lazurowego czy błękitnego do srebrnoszarego albo ogniście czerwonego, ponieważ nad ich głowami zawsze wisiała taka sama płachta – szara, lekko podbita żółcią, w barwie spływających od upływu lat żagli.

Mieszkańcy ulicy Żółtego Błota nigdy nie widzieli dostojnego splendoru zachodu ani majestatu wschodu, w ich małych zamglonych oczach słońce było tylko żółtą piłeczką, która pojawia się i znika, zawsze taka sama. Mówili jedynie: „dzisiaj wyszło słońce” albo „dzisiaj nie ma słońca”, albo „dzisiaj mocno świeci”, albo „dzisiaj świeci tak sobie”. Jednak w apogeum lata, kiedy na zewnątrz buchało żarem, a wnętrza domów przypominały koszyk do gotowania na parze, syczeli przez zaciśnięte zęby: „Spali nas na larwy”.

Na ulicy Żółtego Błota kochano sprzedawać przejrzałe owoce. Z niewyjaśnionych przyczyn stawały się takie od razu po przywiezieniu – przejrzałe jabłka, przejrzałe gruszki, przejrzałe mandarynki, przejrzałe brzoskwinie, przejrzałe pomarańcze, przejrzałe winogrona... wszystkie. Nad ulicą Żółtego Błota przez cały rok unosił się uwodzicielsko słodki zapach nadgniłych owoców, aż przechodniom ciekła ślina. Mieszkańców nie było stać na owoce, nawet na te nadpsute, i kiedy jakieś dziecko głośno domagało się kupna, straszili: „Od jedzenia przejrzałych owoców dostaje się raka!”. Ale pomimo strachu przed chorobą od czasu do czasu kupowali jakieś i zaspokajali apetyt.

Na ulicy Żółtego Błota mieszkało wielu ludzi, więc dużo było tam i śmieci. Dawniej wrzucano je do rzeki, w jej szybkim nurcie wszystko natychmiast znikało i na

ulicy panowała czystość. Pewnego dnia, podczas ulewy, jakaś stara baba skorzystała z tego, że nikt nie patrzył, i wysypała szufelkę popiołu z węgla przed drzwiami restauracji, mówiąc: „Nikommu krzywdy nie zrobi”. Jej pionierski wyczyn przyciągnął uwagę i natychmiast znalazł naśladowców. Nikt nie widział czynów, ale wszyscy zauważyli efekty. Śmieci piętrzyły się coraz wyżej, aż powstała z nich mała góra. Zaczęło się od popiołu i żużla, ale potem pojawiły się resztki warzyw, zniszczone buty, potłuczone butelki, dziecięce kupy. Podczas deszczu cuchnąca czarna woda spływała ulicą prosto pod czyjeś drzwi, a właściciel przeklinał na całe gardło: „Teraz mój dom robi za śmietnik! Mordują bez rozlewania krwi! Świetnie! Jutro idę do urzędu i składam skargę!”. Ale kiedy niby miał to zrobić? Każdego dnia nie wiedział, w co ręce włożyć, i w bieganiu zapominał o złożeniu skargi. Przypominał sobie o niej dopiero przy kolejnej ulewie, ale i wtedy oczywiście nigdzie nie szedł, bo coś zawsze stawało mu na drodze.

Mieszkańcy ulicy Żółtego Błota nie grzeszyli odwagą, ale lubili koszmary senne i codziennie opowiadali innym, co im się przyśniło, jak straszny to był sen, co hałasowało po nocy, jaki przerażający omen ujrzeli, opowiadali, aż bledli ze strachu, a oczy wychodziły im z orbit. Podobno pewnemu człowiekowi przyśnił się koszmar, o którym nieustannie opowiadał przez kilka dni, i kiedy robił to po raz kolejny, nagle zeszywniał i upadł bez tchu na ziemię. Dopiero sekcja wykazała, że pękł mu woreczek żółciowy¹. „Nie wolno dusić w sobie!” Baby z palcem w górze ostrzegały: „Jak się człowiek wygada, to mu lżej!”.

Mieszkańcy ulicy Żółtego Błota lubili zastawiać „pułapki” na złodziei, jak twierdzili. Jednak zawsze, ale to zawsze